

Sabina Misiarz-Filipek

Nasze koty, Przemysław Czapliński i Dorota Masłowska

Part One

Śniło mi się małe rumuńskie dziecko. Małe, lecz uśmiechnięte. Rumuńskie a wesołe. Podeszło do mnie w parku, na placu zabaw, na otwartej przestrzeni, w kolorowy jak wczorajsza gazeta dzień, bez wiatru siejącego roztocza w klimatyzowanym pomieszczeniu z niewymienionym filtrem. Podeszło z głupia frant i nic nie rzekłszy, wyciągnęło małą, chuderlawą rączkę. Nic nie rzekłszy, z oczyma przestronnymi jak salon samochodowy i gałkami tak wypolerowanymi jak szyby nowiutkiego Subaru, stało przede mną zaparkowane i czekało – kupię czy nie kupię.

A kiedy tak stało, we mnie zaczęło wzbierać coś na kształt wyrzutów sumienia. Cóż się zatem stanie z owym biednym auteczkiem? Lśniący lakier rozdziobią. Czy zdołam obojętnie przejść obok najnowszego modelu, rocznik 2012, prawicowy, dwanaście koni i pisali o nim w „Rzeczpospolitej” i w „Przekroju”? A może niech rozdziobią. Zaglądam pod maskę, lecz nie ma tam ni śladu wojny, ni błysku pawia. Jest inny kaliber i inne oleje. Zatem wszystko do wymiany. Nie da się kontynuować rozmowy. Trzeba wszystko skreślić i napisać od nowa. Tylko jak to zrobić, skoro najnowsze numery pism poszły już do druku, a książka krytyczna o Dorocie Masłowskiej już złożona?

I wygląda na to, że nawet dwoje biednych Rumunów porzuciło swoje dziecko, wyjechało na Litwę i zaczęło mówić po litwińsku. Siedzi teraz „subaru” na półce w empiku, uśmiecha się zza błyszczącej okładki i mówi...

I tu nagle się budzę.

Part Two

Otwieram oczy i okazuje się, że oto siedzę naprzeciwko pana Ireneusza Kani podczas Festiwalu Conrada w Pałacu pod Baranami. Pan Ireneusz przeciera okulary i nad czymś głęboko rozmyśla. Najnowszej polskiej literatury nie czytuje, bo lubuje się przede wszystkim w księgach umarłych, dlatego więc przyszedł na spotkanie z pisarką Dorotą Masłowską i cierpliwie siedzi nierozpoznany, otoczony uczniami z liceów numer 3, 12 i 25, którzy opuszczają salę równo z dzwonkiem, łopocząc skórzanymi płaszcami i w wielkich glanach czyniąc milowe kroki? Pan Ireneusz jest bardziej cierpliwy i czeka do końca, i zachowuje

kamienną twarz, gdy pani Dorota opowiada z zapałem o Litwinach mówiących po litwińsku. „To tak miało być, to tak miało być” – uspokajam drżącą we mnie wrażliwą polonistkę, a w uszach dźwięczą mi słowa: „cóż ja! tegoroczna maturzystka i powieściopisarka popełniłam błędy i nie wstydę się tego” – skreślone niegdyś bezlitosną ręką Tadeusza Różewicza.

Part Three

Trzy sale dalej znajduje się epicentrum. Tam jest żywioł – Dorota Masłowska i krytyk w swoim żywiole. Znacząca resztek nowoczesności zbiera powoli szczątki pisarki i układa krytyczne obrazki z ości i rybiego oka. Patrzy na pisarkę Dorotę Masłowską i pyta grzecznie: co by pani teraz włożyła? Proszę przymierzyć, czy wojna jeszcze pasuje. Prawda, że ładna? To co by pani powiedziała o kategorii wojny, bo, jak słowo daję, jest taka kategoria. No i kategoria resztek. Zechce pani przymierzyć, sam uszyłem. Może nie specjalnie dla pani, ale przecież to i tak pani rozmiar, więc co za różnica. A Dorota Masłowska po każdym pytaniu wychodzi z przebieralni uśmiechnięta i mówi: „Tak, to prawda” – kiedy ciuszek dobrze leży i nawet jej się podoba oraz „Ojej, nie pamiętam” – kiedy ma za długie rękawy albo wygląda na znoszony. Czasami Przemysław Czapliński mówi: „O, tego proszę nawet nie przymierzać, to na panią za duże”.